



PRENUMERATA ROCZNA 2,50 z PRZESYŁKĄ 3 zł.

Dwumiesięcznik uczennic Seminarjum Nauczycielskiego w Marjówce.

OSTATNIE MAJOWE NABOŻEŃSTWO.

... Idziemy do kościoła, na ostatnie w tym roku majowe nabożeństwo. —

Od ukwieconych gałęzi drzew idzie urok i odurzająca woń.

Przezrocze, białe płatki z cichym szelestem spadają na zieloną murawę.

Kończy się maj, ten cudny miesiąc Marji, opromieniony zdrojem łask, zsyłanych przez Nią na ziemię.

... Z delikatnych płatków kwiecia, zdobiącego ołtarz, uśmiecha się twarz Matki Bożej w gwiazdzistej koronie, a Jej przedobre oczy patrzą na ludzi, korzących się w głębokiej modlitwie. —

Proste, śpiewane przez cały lud słowa litanji wlewają do serca otuchę i wiarę w bezgraniczną dobroć i pomoc tej, która „Wszechmocną na klęczkach” się zowie. —

— Na srebrny dźwięk dzwonka świątynię zalega cisza. . . W błękitnym dymie kadzideł i w blasku jarzących się świec wznosi się w górę Monstrancja, rozsiewając wkoło cudne blaski. Wszystkie głowy, niby łan zboża, poruszony delikatnym powiewem wiatru, chylą się kornie ku ziemi, a dusze w jednym zachwycie ulatują do tronu Stwórcy, miłującego słabe, cierpiące dusze ludzkie.

— Do serc wstępuje nadzieja i niezglębiona ufność. —

. . . Promienie słońca oświetlają ołtarz, lekki dym kadzideł unosi się w powietrzu, z góry przesłodka płynie śpiew. . . a Bóg błogosławi rozmodlony, korzący się przed Jego majestatem i miłością lud.

— — — — —
 . . . Nadchodzi wieczór, obejmuje szaremi woalami zmroku wiośnianą, uśmiechniętą ziemię.

Słodycz miodowa sączy się z pod traw, z pod kwiatów idzie ona wonna i ożywcza słodycz ziemi naszej drogiej, słodycz upoista.

A taka bezbrzeżnie tęskna. . . A taka promienna. . .

— Liljowe cienie kładą się nad światem, a w czystym powietrzu brzmi dźwięczny i donośny głos sygnaturki kościelnej na „Anioł Pański,” głosząc chwałę Królowej Korony Polskiej. —

Sodaliska.



Zadanie kobiety.

W życiu bardzo dużo mówi się o miłości, o niesieniu innym pomocy, o stawaniu w obronie słabych, o poświęceniu się i t. p. Lecz czy miłość zasadza się tylko na mówieniu? — na tych pięknych frazesach, które zazwyczaj pozostają tylko frazesami, które niezdolne są dotrzeć do głębin duszy ludzkiej, niezdolne rozgrzać serca i pobudzić do czynu? . . . Każdy odpowie: Nie. Nas pociągają przedewszystkiem nie czcze słowa, ale czyny, przykłady! I gdy słuchamy słów, które ulatują gdzieś w błękity, nikną w przestworzu, w duszy powstaje jakaś siła, jakiś protest, który gotów wybuchnąć i zawołać:

Nie teorią baw się, ale czynem świeć!

Nie teorią sław się, ale miłością nieć!

A wtedy zobaczymy wyniki i plon,

I wtedy uderzy bratniej spójni dzwon!

Jednak miłość i współczucie nie wystarczają, bo dużo jest ślepej miłości i krótkowzrocznego współczucia. Prawdziwą pomoc nieść można temu tylko, kogo znamy, czyje warunki życiowe rozumiemy — lecz to nie znaczy, że trzeba ograniczać się tylko do otoczenia! Czynić dobrze można i należy również tym, których nie znamy, którzy są zdala — pośród świata ogromu.

Nieraz i przy największej i rozumnej miłości nie należy oszczędzać innym bólu. Trzeba niekiedy przez to głębokie współczucie stać się niełitościwym — ale tam tylko, gdzie ból doświadczenia życiowego i wycho-

wanie samego siebie mogą kogoś etycznie posunąć naprzód. Przez poddawanie się czułościowemu współczuciu można pozbawić bliźniego wszelkiej surowości względem samego siebie, a przez to wyrządzić szkodę niczem niewynagrodzoną.

A więc od najwcześniejszych lat winnyśmy uczyć się dobroci, uprzytamniać sobie losy i temperamenty innych, a wówczas, idąc przez życie, naprawdę dużo można działać i innych pociągnąć na wyżyny, rozjaśnić stroskane i zgnębione twarze i nauczyć radować się w cierpieniu. A wtedy — czy nie jaśniej i szczęśliwiej byłoby żyć wśród serc, bijących tętnem przyjaźni i miłości? . . .

Często pragnienie podobne budzi się w duszy, ulatuje jak ptak ku niebu, szukając jaśniejszych promieni, szukając — szczęścia. — A przecież ono od nas samych zależy. Prawda, że niejednokrotnie trzeba się przełamać, zniżyć, ale zato jakaż nagroda! — Nagroda zadowolenia wewnętrznego, nagroda — Boga.

Są ludzie, którzy posiadają wrodzony dar miłości — ale równie dobrze jak czego innego, można się nauczyć miłości, można przyzwyczaić się do troskliwości, do wychowania swych oczu do należytej uwagi na innych i pozbyć się strachu o swoje własne „ja.”

Powinnyśmy się starać, aby każdemu z nami było dobrze, aby każdy po obcowaniu z nami wynosił coś lepszego, coś, co każe czynić podobnie, coś, co wznosi ducha, co budzi tęsknotę za czemś lepszym, wyższym.

Najszczytniejszem powołaniem dla kobiety jest — orędownictwo, stać w obronie oskarżonych, łagodzić nieubłagane prawo, nakłaniać do dobrego, uspokajać wzburzonych.

A życie ludzkie, przepojone nienawiścią, nietościwą obmową, zaślepieniem nieporozumieniem daje szerokie pole do działania, do orędownictwa. Gdy kogoś potępiają, nie mamy cywilnej odwagi stanąć w obronie, stać się aniołem opiekuńczym dla nieobecnego, nie pozwolić na oszczerstwa, zażegnać burze. — Zazwyczaj milczymy, lub dorzucamy słowa niechęci i nienawiści!

Być lekarką wśród otoczenia, krzepić popędliwego i pysznego, chciwego i samolubnego, krnąbrnego i zatwardziałego — to zadanie kobiety — Polki, kobiety — anioła. A kto z całego serca pragnie stać się słońcem dla bliźnich, na tego czole zaświeci promień świętości.

Jakaż nieopisana radość i szczęście szerzyłyby się wśród nas, gdyby każda powiedziała: „Jestem na świecie nie żebym nienawidziła, lecz żebym miłowała” i za hasłem tem szła, dając dowody miłości czystej, rozumnej i ofiarnej. . .

Fela.

MODLITWA.

*Boże mój, Boże Wszehmocny — Ty wielki,
Błękity zorzą krwawią się ogniście,
Obłoki ronią łzy — rosy kropelki,
A brzoza biała strąca złote liście.*

*O Boże wielki, Wszehmocny Ty Panie,
Jakże mi smutno na wielkiej tej ziemi,*

Z dali gdzieś szarej dochodzi mnie łkanie,
Ktoś tam się żali skargami cichemi.

Woła litości! — To któryś z nędzarzy
Błaga, byś zesłał światłości anioła.

Niech przyjdzie z jasnym promieniem u czoła,

I niech nad głową znękaną zawiśnie,

I niech osnuje nitkami srebrnemi,

I niech im powie, że Chrystus jest z niemi.

Wichura

Jak to było przed pierwszą lekcją próbą.

Dzwonek, targnięty energicznie, oznajmił pauzę. Naraz panna Marja wstaje od stołu, ale na twarzy widać coś tajemniczego, niepospolitego.

— Czwartaki, posłuchajcie coś wam powiem ciekawego.

W klasie momentalnie ucichło.

— W sobotę będziecie prowadzić pierwszą lekcję. Pracę tę zaczniemy w dzień Matki Bożej, żeby nam się dobrze wiodło.

Odpowiedzią był krzyk radości, który echem odbił się od ścian.

Jękneły szyby. Nagły wybuch okrzyków przeszedł w przytłumiony gwar.

I długo p. Marja rozmawiała z czwartakami, jak trzeba prowadzić lekcję...

— — — — —
Po dwugodzinnej mozolnej pracy przygotowałyśmy konspekt, pierwszy w naszym życiu.

Ale nie tak łatwo został stworzony.

Ile głosów, tyle myśli — wniosków dążyło do niego, by tam królować, bo konspekty przedstawiane są przy maturze.

Każda z nas pragnęła wypowiedzieć swoje zdanie, gdyż zdawało jej się, że tak będzie najlepiej.

Aż po długich wysiłkach i ścieraniu się projektów na stole leżał, wzdłuż naszego mniemania, doskonały konspekt.

Najpierw poprawiła go nauczycielka oddziału, potem przyszła p. Marja. Dziewczynki pewne są, że prowadzić będzie ta, która się zgłosiła pierwsza.

Niestety... stało się całkiem inaczej!

P. Marja mówi: — Lekcję mieć będzie ta, której numer zostanie wyciągnięty przez „benjaminka” klasy.

Lodzia blada, przestraszona zbliża się do stolika, zegnając się raz po raz, ażeby nie wyciągnąć swojego numeru.

A za nią płynęło trzydzieści pięć westchnień i próśb.

— Tylko nie mój.

— Lodziu, jak „mnie” wyciągniesz, to się gniewam do śmierci.

— Pamiętaj, nie ruszaj mojego.

Tym podobne groźby i prośby biegły za nią...

Cisza...

Każda czeka, nadśluchuje i myśli sobie:

— Pewnie mój. . .

A serca biją prędko, prędko.

Lodzia już wyciągnęła kartkę, ale drżące ręce nie pozwalają jej rozwinąć.

Nareszcie czyta: — 18-ty i objaśnia, że to Mania P.

Cała klasa jakby zelektryzowana skoczyła do góry, z młodych, zdrowych piersi wydobył się wielki potężny krzyk, przechodzący powoli w długi silny i serdeczny śmiech. A biedne mury aż się ugięły pod takim naciskiem. A cała radość i śmiech wydostały się na wiosenny ciepły wietrzyk przez wybitą szybę.

Natomiast bohaterka chwili, cicha, nieśmiała nasza Mania, zbladła i zaczęła się ogromnie trząść, a potem śmiać się z nami.

I długo... długo... płynął śmiech na świat, aż ptaki dziwiły się temu...

Był śliczny wiosenny poranek. . .

Ptaki na wyścigi śpiewały cudnie Matce Bożej, kwiaty co najpiękniejsze swe wonie wysyłały do Jej stóp, a między tym orszakiem biegła małeńka, pokorna prośba Mani, która szła do szkoły powszechnej prowadzić lekcję.

— Matko Najświętsza, dopomóż mi dzisiaj. . . Wtedy z tych łąk zielonych, z białych sadów kwitnących przyplęnęła do niej jakaś moc, siła nieznaną i Mania uzyskała spokój i względną swobodę.

Dziękowała Mania całej przyrodzie za tę wielką pomoc, bo duszyczka jej prosta, czysta „wychowanka przyrody” czuła to wszystko, choć ucho niedołężne nie słyszało.

I tak pierwsza lekcja czwartaków odbyła się w piękny, wiosenny, sobotni poranek, umajona i upiększona tchnieniem i życiem wiosny, i jako dowód naszej wiary w opiekę Matki Bożej, składała Jej hołd. . .

Czwartak.

Ostatnie tegoroczne dni maja.

Oparty o smukłą białokorą brzoźkę stał maj. Głowę mu stroiła girlanda kwieci, gęsto operlona kroplami rosy. Pancierz obcisłał go również kwietny, ale tu i ówdzie nadszarpany, zapewne wiatrem. Wogóle cały strój jego, nosił wyraźne ślady piękności, ale jednak znać na nim było zniszczenie.

Oczy maja wielkie, niebieskie i śliczne były w tej chwili przysłonięte jakąś mgłą smutku. Z całej zaś postaci biło zniecierpliwienie i oczekiwanie.

Naraz... hen, z południa powiał ciepły wiatr, zakreślił się nad majem, owiał mu usta miłym tchnieniem, a tuż nad uchem szepnął wesolo:

— Idzie czerwiec, idzie on —

Już dla maja nadszedł zgon. —

Poczem rad siebie i ze swych zdolności poetyckich frunął wyżej, do wierzchołków brzoź, by głosić nowinę. Tymczasem brwi maja sciągnęły się przykro. On, na którego rozkaz ptaki śpiewały, zboża rosły, drzewa kwitły teraz nie może zabronić śpiewania tej natrętnej i takiej lichej strofki, od której uszy bołą, a której słuchać musi, bo to wiatr czerwca, nie jego.

— Hej, królewiczu, cudne paniątko, zechciej przywitać łaskawie twego brata. —

Maj podniósł głowę wysoko i twardym, choć dźwięcznym głosem, rzekł krótko:

— Witam! —

Po smagłym obliczu czerwca przebiegł uśmiech, a czarne oczy roz-
błysły, wesołością.

— Cóż to, mój uroczy, azali braknie ci dziś chęci do rozmowy ze mną? Wiem, że mię nie lubisz, aleć przecie tak rzadko się widzimy, możnaby więc niechęć swą przewyciężyć i przywitać, jak brata. —

A potem zmieniając ton na pokorny, choć przepelnięny iskrami humoru, dodał poddańczo:

— Co mi każesz, kwietny panie, czyli mam jak i ty zabłysnąć tylko kilkakrotnie słońcem i wnet potem zmierzyć ziemię spojrzeniem chmury i deszczu, czyli też inaczej? — Cóż to marszczysz się groźnie? Daj spokój lepiej, jesteśmy przecie w lasku marjowskim, a kto wie, czy jakie dziewczęce spojrzenia nie śledzą ciekawe naszego spotkania. Zostaw im przynajmniej ostatnie wrażenie miłym.

— Dziękuję za radę, — odparł maj — uznajesz więc, że tego roku byłem mało pięknym? —

Zaledwie wypowiedział to, zauważył całą śmieszność pytania, więc dorzucił szybko:

— Rozumiesz chyba, że, przecie że...

Jakał się biedny, nie wiedząc co powiedzieć a jednocześnie nie chcąc prawdy wyrazić.

— Pozwól, że za ciebie dokończę, — rzekł z uśmiechem czerwec — a więc rozumiem, że jeżeli się ktoś pokłóci ze słońcem i niebacznym jest na to, że bez niego sam nawet osławiony cudno-barwny maj niewiele zrobić może, to zapewne, że potem trudno jest być pięknym, prawda? Ale to nic, kochany braciszku, jedno doświadczenie więcej. Zapewne na drugi rok nie będziesz starał się przekonać słońca, że ty i bez niego potrafisz olśnić i porwać do piór poetów, a zachwycić i oczarować młode serca. —

To mówiąc, spojrział w oczy maja, lecz te były gniewne.

— Chodźmy z tego lasku w aleję — przerwał wreszcie milczenie maj. — Tu jest niemożliwa wszelka rozmowa. Przez tę budowę domu brzózki, zwykle miejsce naszych spotkań, zostały obdarta z miłego uroku, jaki zawsze na mnie wywierały. —

W każdym calu piękny, — śmiał się czerwec — ale śpieszmy w alejki.

Szli przy sobie, obaj bracia, obaj śliczni, a jednak różni pięknoscią.

Maj, gdy mówił, lub gdy się śmiał, to drżała w tym śmiechu ukryta, lecz wyraźna nuta jakiejś tęsknoty, młodzieńczego marzenia, jakiegoś pragnienia, jakiejś tajemniczości. Nawet kiedy się gniewał, to jednak zawsze uroczo i zawsze jakoś tęsknie.

Tymczasem gdy śmiał się czerwec, to oczy nabiegały mu żarem i gorącym szczerości, a gdy się gniewał, to rzucał piorunami spojrzeń i grzmotem śmiechu. Maj był bardzo wrażliwy na przykrości, ale prędko przebaczał. Czerwec, jeżeli naprawdę go obrażono, musiał być mściwym.

Tak i teraz maj, niepomny uszczypliwych słów brata, mówił mu słodkim miłym głosem:

— Widzisz, ja byłem zły, bo mi się uniósł dumą, a potem, choć chciałem, nie mogłem słońca przeprosić. Próżne były moje wysiłki, by wiatrem rozgonić chmury. Słońce nie chciało się pokazać. Żał mi teraz opuścić tę polską ziemię, nie dawszy jej przedtem piękna, jakiego pragnąłem.

A w dodatku, jak sam powiadasz, zawiodłem oczekiwania ludzi, a zwłaszcza poetów.

Zawiodłeś i Marjówkę, ty wiesz przecież, jak cię tu kochają i okazałeś się naraż takim niewdzięcznym — zauważył czerwiec.

O Marjówce zawsze myślę — odpowiedział maj — ale zobaczysz, jaką niespodziankę zgotuję jej na rok przyszły. Zobaczysz i podziwiać będziesz. Już mam ułożony plan, ale to sekret. Tymczasem żegnać się musimy, bom ja tu już być nie powinien.

— Żegnaj, królewskie dziecko, a ja tymczasem, chcąc wynagrodzić ziemię za skutki twej chwilowej dumy, obsypię ją złotem słońca, upiększę kłosem liljowych zbóż, pachnącem sianem wonną ją uczynię.

... Odchodził maj, a za nim szły szepty śpiewne zwiewnych listków brzoźcwych, pól zielonych. . . Odchodził maj, a żegnano go serdecznie i szczerze. Odchodził, aby powrócić piękniejszy, niż teraz, a zawsze jednako kochany.

Czerwiec odprowadził brata wzrokiem aż do siniego widnokregu, a potem potrząsając czarnymi zwojami loków, szepnął miękko:

Kocham cię, ziemio moja, — jesteś piękną! — i powiódt miłosnem spojrzaniem.

...Jesteś piękną... odpowiedziało echo.

Ja.



Przed maturą.

Jutro matura piśmienna! Ach, jak to już blisko. Jeszcze raz tylko ziemia obróci się dokoła swej osi, a biedne „piątaki,” może niejedna z tchórzem za kołnierzem, staną przed obliczem despotki — matury.

Już od samego rana w seminarjum panuje ruch niezwykły, spowodowany przygotowaniem do „właściwej matury.” Jedne z piątokursistek rozgorączkowane biegają z góry na dół i z dołu na górę, wynoszą i chowają gdzieś na dno koszów całe stosy książek, żeby je choć na dwie doby stracić z oczu. Inne znów chodzą po kursach i pożyczają stalówki, które, według zapewnień właściolek, posiadają w czubkach całą „sapiencję” potrzebną do matury. Jeszcze inne, krokiem wolnym, pełnym powagi i majestatu, jak przystało na przyszłe absolwentki, przechadzają się po alejkach ogrodu marjowskiego i sennym głosem powtarzają to, co im się jeszcze nie zdołało uleżeć w mózgu.

Biedne one, współczuję im mocno, lecz mnie to samo czeka za rok, lub, co nie daj Boże, za dwa.

Tymczasem na korytarzu ruch. Dziewczynki biegają, uzbrojone w szczotki, ścierki i tym podobne przyrządy do mycia.

— Wiecie, możeby tak ubrać „piątakom” salę, bo to mycie chyba nie wystarczy?

— Wyśmienicie, — ozwały się ze wszystkich stron głosy.

— A więc predko biegnijcie po zieleń i kwiaty. Za chwilę wbiegła na salę „maturalną” rozhukana gromadka czwartokursistek, niosąc moc

narcyzów, modrzewiu i, zawiąwszy rękawy do łokci, zabiera się do dekoracji.....

Sala wygląda mniej więcej efektownie.

— A teraz, zajmijcie, dziewczynki, miejsca przy stolikach, odzywa się Jadźka, sama siadając przy pierwszym od drzwi. Zobaczymy, jak to my na przyszły rok będziemy wyglądały w roli maturzystek. —

— Ale wiecie, moje panienki, widać, że jeszcze nie dorosłyście do matury, zauważyła Władka. —

— Dlaczego? — wielce obrażona pyta Lutka. —

— Bo nie umiecie zastosować się do chwili, śmiejecie się jak małe baki.

— Maturzystka powinna być poważna i przejęta ważnością sprawy tak, jak ja w tej chwili, spojrzycie tylko. —

Wszystkie odwracają głowy w stronę silącej się na powagę Władki i wybuchają głośnym śmiechem.

— Moja Władziu, czyż maturzystki koniecznie muszą być tak poważnymi osobami, jak ty obecnie? Gdyby tak było, śmiałyby się wkrótce zapomniały, a panienka bez humoru, to jak kwiat bez woni.

Tak! tak! odzwało się kilkanaście głosów. Jedna tylko dziewczynka z pod ściany nie wydobyła z siebie żadnego dźwięku. Była tak zaabsorbowana własnymi myślami o przyszłorocznej maturze, że nie słyszała nawet rozmowy koleżanek.

— Felu, o czym marzy twa myśl?... zaintonowała swym fletowym głosikiem Jaśka, czy przypadkiem nie o wakacjach albo o...?

— Nie, nie, — zaprzeczyła Fela, — myślałam o maturze i wyobrażałam sobie, jak to będzie za rok...

— Nie mów o tem, bo na samą myśl zimny dreszcz mnie przebiega i czuję, że za chwilę powinnam zemdleć, — z błagalną minką zwróciła się do Feli zawsze pełna bojaźni i lęku Mania.

— Ja dorzucę jeszcze to, że matura nie jest rzeczą straszną, jeżeli się do niej przystępuje śmiało, odważnie, nawpół z płaczem, bez przytomności.

Cyt. Słyszycie, ktoś puka?... Pewno to piątokursistki, powodowane istic niewieścią ciekawością, chcą zobaczyć salę przygotowaną dla nich.

— Tosiu, zatknij papierem dziurkę od klucza, bo jeszcze zobaczą bukiet, stojący na oknie vis-à-vis drzwi.

Kiedy szmery na korytarzu umilkły, cicho, cichuteńko, na paluszkach, jak to my umiemy, wymykamy się na górę do sypialni, aby dobrze wypocząć, bo jutro musimy stanąć na swoich placówkach pod drzwiami sali maturalnej i dobrze wyteżać wzrok i słuch, aby usłyszeć tematy, a to takie męczące...

Chochlik.

Refleksje pierwszokursistki.

„...Siedzę smutny i sam, w oku perli się łza...”

Dałabyś spokój z tym śpiewem, bo nie mogę już słuchać — Trzaśnięcie drzwiami i — cisza! A ja naprawdę siedzę smutna i sama. Naokół mnie roztacza się cisza, tylko z pod okna dochodzi mamrotanie: to piątaki się uczył Piątaki?! Hej, kiedyż nas tak nazywać będą?—

Niema nic lepszego, jak być na piątym kursie, a szczególnie przed końcem roku, bo „one” uczą się, uczą, potem przyjedzie p. Delegat, zdadzą (nie myślę o tem, że mogą się obciąć) i — pojedą. A ty człowieku, kuj i kuj, wyteżaj swoje siły i naco się to zda? Przyjdzie koniec roku, dostaniesz z pięć dwój, a na drugiej stronie cenzury: „Na mocy rady pedagogicznej z dnia tego a tego”... (zapomniałam jak tam jest dalej — ale ostatni wyraz taki: Niepromowana). Słyszał kto coś podobnego! I żeby chociaż na osłodę tego wyrazu dostać porcję lodów, ale gdzie tam! To jest twój los, człowieku, „one” to są szczęśliwi!

Ale nic, ja się i tak dodrapię na ten piąty kurs, za lat — no może sześć, może osiem, mniejsza z tem za ile, ale będę, być muszę!

Mamroczą i mamroczał! POCO to się tak kuć? Maturę zdawać przecież tak łatwo, bo tak: wchodzi piątek do sali, nogi się pod nim uginają, zęby dzwonią, siada, p. Delegat zadaje jedno pytanie — piątek odpowiada, drugie, trzecie, też musi odpowiedzieć, a potem „Dziękuję” i koniec, matura zdana! Czy to tak trudno?!

Ale mnie was żal trochę, bo opuszczacie już te mury szkolne, czasami tak miłe, kończycie już ten okres mniej więcej beztrioski i wychodzicie w świat, het, daleko od szkoły i swoich, w świat daleki, hej!

Lata pędzą jako ptaki skrzydlate, wiosna życia przychodzi, ale jakże prędko minie, i zostanie — cóż? Ej, lepiej o tem nie mówić —

Brzózki szemrzą cicho słowa pożegnania dla Was maturzystek: „Żegnajcie krzewicielki oświaty! Żegnajcie Wy wszystkie, co zapal wynosicie z tej szkoły! Żegnajcie!” Tak szepczą brzózki. I od nas, pierwszokursistek, należy Wam się pożegnanie. Więc Żegnajcie, i — szczęść Wam, Boże!

Wieczór zapada ciemny, a ja wciąż siedzę, i myślę, i marzę, tylko myślą już jestem daleko!

X Pożegnanie maturzystek.

„— I czas Wam opuścić te mury,
Co stoją wzniesione wśród pól,
Gdzie ptasząt śpiewały Wam chóry,
Gdzie rzadko tak zjawiał się ból.”

Nadeszła chwila rozstania się z Wami, pożegnania Was. I pójdziecie hen, — na niwy i może twarde zagony, na których znój i praca Was czeka... My tu jeszcze zostaniemy — gdzie życie w porównaniu z przyszłem

plynie beztrosko i spokojnie. — Lecz za rok staniemy także razem na jednym polu, przy jednym zagonie. —

I oto teraz, gdy może ostatni raz jesteśmy tak blisko siebie, — chcielibyśmy Wam złożyć życzenia na nową drogę życia i serca nasze i naszą tęsknotę, którą zostawiacie tu po sobie.

A kiedy już staniecie u progów zadań swych, to serca Wam zabiją i uczucie zew... to będzie oznaka naszych tchnień, myśli i wspomnień o Was, które będą Wam towarzyszyć. Bośmy się żyły z Wami i pokochały Was i nie zapomniemy...

Trudno mówić wiele, bo serce dziwnie drży i tak czegoś smutno, tak smutno. — Lecz wy zrozumiecie — i odczujecie to, czego usta wypowiedzieć nie umieją, nie mogą.

Przyjmijcie więc te proste życzenia, płynące z głębi serc tyłu — niech one będą łącznikiem i węzłem naszym.

... Idźcie więc w życie śmiało i wytrwale. Wzbijajcie się ciągle wzwyż, hen, sięgajcie skał urwistych i niby te orły białe wznóście się wysoko i stale dążcie tam, gdzie jaśniej — gdzie Bóg.

Gdy skrzydła wam podetną, nie opuszczajcie lotu, lecz jeszcze mężniej, wytrwalej szybujcie po błękitach, bo tam skarby Was czekają, i szczęście, i spokój. Prawdziwe szczęście jest tylko w pracy i wtedy, gdy człowiek spełni swoje zadanie należycie i osiągnie cel.

A więc pracujcie i bądźcie szczęśliwe. A w pracy tej — szczęść Wam Boże!

Czwarty kurs.

Wakacje.

Ach, wakacje, to rzecz miła,
Wyśmienita rzecz!
Już nauka się skończyła.
Książki, idźcie precz! ...

Dźwięczą mi w uszach słowa piosenki, którą, będąc jeszcze w szkole powszechnej, śpiewałam.

Ach, wakacje to rzecz miła! O, i jak miła!

Chyba niczego w życiu tak się nie pragnie i z takim utęsknieniem nie wygląda, jak przy końcu roku szkolnego wakacyj... I chociaż pracy więcej, choć strach o promocję, każdy się pociesza myślą że — niedługo wakacje!

Wakacje! — Czemu ten wyraz budzi tyle radości?

Przecież są ferie na różne święta i uroczystości, niema lekcyj, można odpocząć, bawić się — a jednak to nie to! Wakacje — to coś tak odrębnego, tak innego od wszystkich dni wolnych.

O, bo wakacje to dwa miesiące swobody, śmiechu, wesela i radości! To jakby pewna karta grubej książki, najpiękniej malowana z najpiękniejszą treścią.

Myśląc o wakacjach, przedstawiam sobie już niektóre sceny z nich.

— Są różne upodobania. Ja, na przykład, bardzo lubię samotność, — więc wyobrażam sobie, że jestem w naszym lesie. Las ciemny, gęsty szumi tajemniczo, a ja leżę sobie na mchu i słucham...

Słucham, bo tak dobrze rozumiem, co mi mówi.

Innym razem siedzę gdzieś na ścieżce między polami.

— Cisza... Popołudniowa cisza... Wiatr lekki przegina kłosa, które nachylając się nade mną szepczą mi znów takie słowa, które tylko sama rozumiem...

Może mi się zdaje? Ale nie, kłosa naprawdę mówią, trzeba się tylko dobrze wsłuchać.

Wszystko mówi, i kwiatki, i drzewa, i przepiórki, i koniki polne, i motyle... wszystko mówi...

Albo letni wieczór. Słońce zachodzi, takie duże, czerwone ze złotymi chmurkami przy boku. Na ziemię powoli mrok zstępuje... Mgły lekkie się podnoszą ku górze, od łąk dolatuje woń wiosenna, w pobliskim zbożu odzywa się derkacz...

— Potem jakaś piosenka...

— Cicho...

Wychodzę do ogrodu, gdzie księżyc świeci. Zapach jaśminu mocny, duszący i... znowu, piękne, tajemnicze szepty natury...

Sama jestem, — ale mi dobrze!

O, żeby te wakacje jak najdłużej trwały!

— — — — —
Uśmiecham się do pól i do słońca, i powoli wpadam w głęboką zadumę. Przed oczyma przesuwa się zmęczona twarz matki i robi mi się dziwnie smutno.

— Dużo mogę zrobić przez wakacje, o bardzo dużo, mogę przecież rozjaśnić jej dni pełne zabiegów i starań, nieraz ciężkie od trosk i zawodów, mogę być w domu takim jasnym słońcem — tylko żeby ona chciała, tak mocno, wytrwale chciała.

Zamykam oczy i naraz zdaje mi się, że zupełnie dokładnie widzę swoje wakacje. — Dni wakacyjne płyną, mijają wśród słońca i pogody. Siedzę przy swym stoliku, na którym porozrzucane są moje ukochane książki. Prus, Sienkiewicz, Asnyk przemawiają do mnie bogatym barwnym językiem. Dają mi poznać ludzi, pogłębić nabyte wiadomości, rozszerzyć pole swego widzenia i patrzeć na życie poważnie a jasno.

To będą moje najmilsze chwile. A potem wyreczanie mamusi w jej domowych zajęciach i pomaganie w jakikolwiek sposób najbliższym i tym, którym będę mogła w czemkolwiek pomóc. Uśmiecham się radośnie i czuję, że takie wakacje będą naprawdę dobre, i dadzą mi dużo siły i zadowolenia wewnętrznego.

A to pomoże do dalszej pracy nad nauką i nad sobą. Bo przecież muszę się stać lepszą — muszę panować nad sobą, walczyć ze złem, omijać to, co niskie i niegodne. Zmierzch zapada. W pociemniałym niebie zapalają się cicho migocące gwiazdki.

Na zachodzie czerwieni się morze blasku i płonącego światła wieczornej zorzy. Gdzieś daleko słychać gwizd nadchodzącego pociągu. Żegnajmy spojrzeniem uśpione pola w mlecznych oparach i białe chaty wiosek.

W duszy coś mi śpiewa radośnie i całym sercem witam nadchodzące wakacje.

— — — — —

A gdy się wakacje skończą, wróci się do pracy. No tak — wróci się, to naturalne, ale miłe chwile zostaną w pamięci, będą bodźcem do tej pracy, będą tą kartą pięknie malowaną. — drogiem wspomnieniem. —

H. i S.

UŚMIECHNAŁ SIĘ.

Uśmiechnął się do mnie dziś ranek,
Roześmiał mi się dzień,
Ten mój najdroższy świt — kochanek
Ten złoty szczęścia cień.

Świt taki jasny, roześmiany,
Nigdzie ni mgieł ni chmur,
Do duszy sączy się świetlany
Z błękitnych kędyś gór.

Jakże mi dobrze, jak świątecznie
Wkoło ezeremchy, bzy...
Fato — morgano, zostań wiecznie,
Niech ronię szczęścia łzy.

Wichura.

Jeden dzień z życia Kochanowskiego w Czarnolesie na podstawie fraszek i pieśni (Dokończenie.)

Niebo było pogodne, gwiazdziste... Lekki wiatr niósł od zachodu zapach polnych kwiatów, a koniki polne wydawały radosne cwierkanie, zdając się podzielać jasne myśli poetów...

Kochanowski, uniesiony pięknymi zjawiskami przyrody, wzniosł myślące oczy ku Stwórcy, a z serca wypłynął pochwalny, pełen uwielbienia hymn: „Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary? Czego za dobrodziejstwa, którym nie masz miary? Tyś Pan wszystkiego świata, Tyś niebo zbudował i złotymi gwiazdami ślicznieś uhaftował. Bądź na wieki pochwalon, nieśmiertelny Panie, Twoja łaska, Twa dobroć nigdy nie ustanie. Chodź nas, póki raczysz na tej niskiej ziemi. Jeno zawždy niech będziemy pod skrzydłami Twemil”

I wylewał Kochanowski duszę swą przed przyjacielem, duszę szczerą, prostą, pełną miłości ku Bogu, ku ludziom i wszystkim twórcom natury. — Nie chował w sobie myśli szlachetnych, wykorzystał każdą sposobność, aby w ten sposób zachęcić ówczesne społeczeństwo, do prawdziwej miłości ojczyzny, a również do umiłowania tego, co dobre, szlachetne i wzniosłe...

„Cnota tak jest bogatą, nie może wziąć szkody, ani też się ogląda na ludzkie nagrody.” „A jeśli komu droga do nieba otwarta, tym, co służą ojczyźnie, Wątpić nie potrzeba, co im zazdrość ujmie, Bóg nagradzać będzie, a cnota kiedykolwiek miejsce swe osiedzi.”

Dzieląc się wrażeniami i myślami, dochodzili do Czarnolasu i tu musieli się pożegnać...

Kochanowski udał się do swego pokoju, wypocząć po dniu, wypełnionym tylu wrażeniami... Cicho tu było i spokojnie... Księżyc bladą twarzą zaglądał do wnętrza, chcąc odgadnąć myśli poety — ciekawe one były, bo Kochanowski zdjął ze ściany wiszącą lutnię i począł grać: to cicho, zaledwie można było odróżnić tony, to znowu uderzając silnie lub zmieniając tempo, wywoływał muzykę przeciągłą, spokojną, tęskną... Naraz wszystko ucichło.

Za chwilę rozległ się głos po pokoju: „Nie dbam, aby zimne skały po mem graniu tańczyły.

Hanno! Tobie kwoli śpiewam,
Kwap się, póki jasne zorze;
Nie zapadną w bystre morze;
Po chwili ćmy czarne wstaną,
Co noc niosą nienaspaną”. —

Tu przerwał, wzrok jego padł na krzyż, który stał na klęczniku przy łóżku...

Słaby blask księżyca oświetlał pełną spokoju i majestatu twarz Boga

— Chrystusa...

Zapomniał poeta o swych marzeniach, padł na kolana przed Stwórcą.

Dziwne uczucie ogarnęło duszę myśliciela... Tak mu tu było dobrze, spokojnie i ciepło... Czuł względem Boga wielką wdzięczność — i z serca popłynęła modlitwa:

„Panie to moja praca, a zdarzenie Twoje, racz błogosławieństwo dać do końca Twoje.

Spraw, niechaj mieszkam w tem gnieździe ojczystem, a Ty mię zdrowiem opatrz i sumieniem czystem”.

Po tej modlitwie Kochanowski położył się i usnął głęboko, spokojnie, gdyż czuł, że czuwa nad nim kochający Bóg...

Letnia noc rozpostarła swe skrzydła nad Czarnolasem, wszystko poogrążyło się w głębokim spoczynku, we śnie. —

Rola „Brzasku.”

„Brzask” — to skromny wianuszek naszej wspólnej pracy.

Woń jego, chociaż coprawda skromna, jest nam bardzo droga — kochamy ją szczerze, bo wiele nam daje.

Dorzucamy też tam wspólnymi siłami drobne kwiatuszki.

Do „Brzasku” nieraz tak szczerze wypowiadamy to, co niemiłosiernie przygniata nam duszę, albo to, co ją chwilami unosi na skrzydła jakiejś bezbrzeżnej radości — odgrywa więc zatem „Brzask” nieraz rolę przyjaciółki, takiej serdecznej, najbliższej. Mówimy mu dużo, a często i wszystko, jest tedy najwierniejszym odzwierciedleniem naszych dusz i tego ciepła, w którym się kąpią nasze młodociane serca tu w marjowskich szkolnych murach.

„Brzask” często jest pośrednikiem między nami, — daje nam bowiem

poznać lepiej niektóre koleżanki, bo chociaż żyjemy tu wspólnie, jednak znać dobrze wszystkie jest trudno. Każda wiele, coby mówiło o jej charakterze, często jak najgłębiej chowa przed swem otoczeniem, ukrywa, nie mówi, ale gdy do „Brzasku” pisze artykuł, to zwykle wkłada tam część swej duszy i pokazuje, czem jest w rzeczywistości...

I tak nieraz „Brzask” budzi w nas szlachetną zazdrość, budzi chęć naśladowania tego, co szczytne. Czasem pojawi się jakiś ułamek cierpienia którejsz z koleżanek, — wtedy budzi się współczucie dla niej, a często i chęć naśladowania jej w umiejętnem dźwiganiu krzyżyków.

„Brzask” jest tą falą, która niesie wszystkie nasze myśli, pragnienia i porwy w szeroki Boży świat — do ludzi, a przede wszystkim do naszych najbliższych. Dzięki niemu, choć jesteśmy zdala, znają nasze życie, znają to ciepło prawie rodzinne, jakie nas tu otacza, i ten promyk jasny, który wskazuje drogę, wiodącą do Boga.

... I mówi „Brzask” o nas Polsce naszej całej, a nawet wybiega poza jej granice, nawet za ocean.

... A najwięcej to „Brzask” daje nam, nam samym. — I tylko dzięki niemu mniej bolesne będzie nasze ze szkołą rozstanie, bo on zawsze będzie łącznikiem, zapomocą niego często będziemy mogły chwytać te fale gwarne życia bez troski tu z tych kochanych nam murów. — Będzie jednym z tych ogniw, które na zawsze spajają nas będzie z tem, co tu najmilsze i tak bardzo drogie.

Hanka S.

Z wycieczki pomorskiej.

Powrót z nad morza.

Żegnaj, morze, które melodją rozhukanych fal zapadasz gdzieś w głębinę serca.

Dziś wywołuje tylko wspomnienia, a zda się, słyszę zdaleka uderzenie o brzeg rozpedzonej fali, czuję powiew wiatru, unoszącego się nad spienionym balwanem.

Żegnaj, żegnaj... jakaś skarga brzmi w tych słowach. Jedziemy... Gdzie? Do Kartuz... I tu w marzeniach już staje obraz sławnej kaszubskiej krainy. Ale jak naprawdę wygląda ta ziemia?

Według danych dr. Orłowicza w „Przewodniku po Pomorzu” miasto powiatowe Kartuzy liczy około 4000 mieszk.

Kartuzy do XIX w. były wsią. Po zbudowaniu kolei zaczął rozwijać się ruch turystyczny. W miasteczku są wszelkie wygody: światło elektryczne, wodociągi, bruki, trotuary, a czystość i ładne zabudowania nęcą okoswym widokiem.

Kartuzy, położone na wys. 200 m. n. p. m., wyglądają b. malowniczo jakby strzeżone przez hufiec jezior, wzgórz i lasów. W Kartuzach na uwagę zasługuje kościół, jako zabytek z 1383—1403 r., posiada jedną nawę, zbudowany w stylu gotyckim. Wieża i dach są z 1731—33 r. (jak podaje Orłowicz) przypominają kształtem wieko trymny. Wewnątrz kościoła sklepienie z żebrowaniem gwiazdzistym, absyda (prezbiterjum) jest wieloboczna wyłożona kordebanem (skóra) wytłaczanym. Artystyczne wykonania są w stylu barokowym pochodzą z XVII i XVIII w. Jeden z ołtarzów bocznych jest z czarnego marmuru i alabastru.

To wszystko, co jest w kościele, przenosi myśl w daleką przeszłość. Gdy wzrok mój spoczął na dębowych stallach, posiadających b. bogatą or-

namentykę, nie mogłam oddalić się odrazu. Stałam długo, długo... Co za wspaniała robota, jakież misterne wykonanie, ale jakaż to żmudna praca. Z uznaniem i czcią mogłam jedynie pochylić głowę przed widokiem wielkiej, niezrównanej wytrwałości braci zakonnych. Pod chórem stoi dawny gotycki ołtarz tryptyk z r. 1444. Zakrystja posiada sklepienie gotyckie, ale ozdoby rokokowe.

Klasztor Kartuzów był ufundowany w XIV w. wśród zakonników przeważali Niemcy. W r. 1826 nastąpiła kasata zakonu. Klasztor składał się z szeregu oddzielnych domków (eremów) w których zakonnicy żyli w odosobnieniu prowadząc pustelniczy żywot. Teraz stoi jeden, samotny erem, jako świadectwo istnienia zakonu.

Idziemy w okolice... Przepiękny rozpościera się przed nami krajobraz z wieży widokowej na Krzyżowej Górze, zburzonej w r. 1910. Obecnie wzgórze to nazywa się Wzgórzem Wolności. Wdali widać Wieżycę (331 m. n. p. m.), porośniętą starymi sosnami i bukami. Niemcy przygotowali na niej postument pod posąg Bismarka, ale tego ostatniego już nie zdążyli umieścić.

Blżej widać lśniące tafle jezior: Wielkie Grzybno albo jezioro elaktorne i Małe Grzybno 6 km. na zachód nad jez. Kładno leży wieś Chmielno — Zastęp 6 jezior otacza najstarsze grodzisko Kaszubów. Miałyśmy tam pójść, ale deszcz przeszkodził. Ileż uroku i niewypowiedzianego piękna staje przed oczami, gdy wzrokiem obejmujemy Szwajcarię kaszubską ze Wzgórz Wolności, Wymarzona kraina... tu nieruchomy ciemny las kryje w swej zaczarowanej gęstwinie jasne wody tajemniczych jezior, tam malownicze wzgórze wznosi się nad gliniasto-piaszczyste grunta... zda się bezustannie brzmi pieśń stara, pełna majestatu, pieśń przeszłości narodu... Słysząc jej siłę i moc w szumie potężnych dębów, głęboki smutek i pokorę w chylących się ku ziemi, gałązkach... A jakaś niema skarga brzmi w przestrzeniach liści lipowych, a męstwem tchnie powiew lasów bukowych. Ta pieśń umie się wedrzeć w tajniki ludzkich serc i zapanować w nich samowładnie.

I dusza Kaszuba wchłonęła śpiew ten w siebie. Kaszub przyłgął sercem do matki-ziemicy; zrodzony na niej, rośnie, cierpi, pracuje zajęty połowem ryb, zatopiony w monotonji szarego życia smutno spozierana świat.

Ale pod powłoką melancholji i obojętności kryje się gorące serce z tętnem wielkiego czynnego patriotyzmu. Oni walczyli za wolność... za Polskę krew przelewali...

Surowy klimat z powodu wysokiego położenia powiatu Kartuskiego i zimnych wiatrów wschodnich i płn.-wsch. zahartował dzielny kaszubski lud zamieszkujący Wzgórze Szymborskie. Z Kartuz — powrót do domu. Po drodze zwiedziliśmy Tucholę, założoną w 1200 r. prawdopodobnie przez Sambora I. W Tucholi na uwagę zasługuje naucz. semin. męskie, gdzie jest b. dużo wzorowych pomocy do eksperymentalnej psychologii.

Polskie wsie otaczają miasto. O kilka kilometrów na wschód na horyzoncie stoi czarna ściana borów Tucholskich, ciągnących się wzdłuż Brdy. Wreszcie pożegnaliśmy Tucholę i w drogę. Żegnaj, cudna kraino! Tyś w duszy mej zasiała ziarno dzielności kaszubskiej i siłę wielkiego opamiętania się, o jakim świadczy ogorzała twarz rybacza — Kaszuba.

POŻEGNANIE SZKOŁY.

Maturalny wyraz ten przed kilkoma dniami napawał nas niepokojem i trwogą. Czekałyśmy niecierpliwie dnia, który miał nam otworzyć nowe

horyzonty, albo je przyćmić. Teraz matura przeszła już niepowrotnie, jak zresztą wszystko przechodzi.

Cieszymy się, że cel oczekiwany przez nas został osiągnięty, ale nam smutno żegnać Cię Szkoło. Przez kilka lat pobytu przyzwyczailiśmy się bardzo do wszystkich życzliwych nam osób i nie wiemy poprostu jak przyjdzie się z nimi rozstać, a jednak nadchodzi ta chwila.

Wstępując na nową ścieżkę życia, idziemy z myślami i uczuciami, które rozwijały się tu, w atmosferze kochanej szkoły.

Mysli te będą nam pokrzepieniem w niejednej chwili życia, więc chociaż siłą faktu opuszczamy Cię, Szkoło, to jednak fala uczuć przyjaznych, jaka się między nami wije, nie zaniknie nigdy. Serca nas wszystkich wypełnione są niezmierną wdzięcznością za okazaną nam przychylność i życzliwość. Można by o tym pisać bardzo dużo, ale nam brak jest słów, tylko jednogłośnie — pamiętamy, pamiętamy.

Szkoło nasza kochana, żyć będziesz zawsze w naszej pamięci jako wspomnienie chwil w życiu najmiłszych, a teraz żegnaj nam, cichy zakątku pracy, jendo wielkie serce, tętniące przychylnymi uczuciami ku nam, żegnaj nam! żegnaj!

KRONIKA.

26 kwietnia, odbyła się u nas uroczystość poświęcenia kamienia węgielnego pod budowę trzeciego gmachu. Wraz z pieśnią „Kto się w Opiekę” i „Pod Twą Obronę” uleciała modlitwa szczerą, by Bóg wspomagał i błogosławił w pracy przy budowie.

3 maja, aby uczcić dzień święta narodowego, byliśmy na Mszy świętej.

Następnie w seminarjum odbyła się akademja, na program której złożyły się śpiewy i deklamacje. Po akademji rozdaliśmy zebranej młodzieży wiejskiej przysłane przez Macierz Szkolną książeczki p.t. Związły kodeks moralny dla młodzieży.

9 maja. Mamy wspaniałą rozrywkę! Na świeżo zbudowanej kolejce, potrzebnej do zwożenia cegły, jeździmy „na całą parę.” Nie brak przytem wypadków, ani przypadków, co jednak nie jest tak straszne, aby odstręczyć coraz to znaczniejsze zastępy zwolenniczek szybkiej i milej jazdy. Czasem też ku ogólnej ucieście któraś z pań nauczycielek zaszczyca nas swem towarzystwem, a wtedy jest jeszcze weselej —

Dnia 28 maja odbyło się pierwsze przyjęcie do Sodalicji Marjańskiej. Grono złożone z 34 uczennic, klęczało w kaplicy u stóp Marji, obiecując bronić zawsze Jej Imienia oraz postępować zgodnie z zasadami Sodalicji. Każda z sodalisek otrzymała dyplom przyjęcia i ryngraf z N. M. P. który w życiu będzie nam przypominał, że Marja jest naszą ostoją.

Dzień ten zapisał się złotymi zgłoskami w naszych sercach.

29 maja. Wczoraj w nocy wyjechały młodsze kursy na wycieczkę. Jaka miła perspektywa! — będą sobie biegać po „Pięprzówkach,” płynąć Wisłą, zwiedzać Nałęczów, Lublin i mogą nie myśleć ani o lekcjach, ani o dzwonek. Doprawdy, że wycieczki w ciągu roku są pysznym i mądrym wynalazkiem! Czy nieprawda?

10 czerwca, odbyło się ostatnie w roku szkolnym zebranie naszego Koła Samokształcenia. Po złożeniu sprawozdań z działalności poszczególnych grup prezeska Koła kol. L. Pawlakówna wygłosiła referat p.t. „Rola uczennicy”, w którym ujęła syntetycznie obowiązki uczennicy w szkole i poza nią. Całe zebranie miało specjalnie serdeczny nastrój, spotęgowany jeszcze bardziej przez zakończenie, w którym prezeska w imieniu Zarządu złożyła podziękowanie Patronatowi za życzliwą współpracę i pożegnała koleżanki. Ponieważ imieniny p. Wych. przypadają podczas wakacji, przeto złożyłyśmy Jej życzenia, a jako pamiątkę — album naszej szkoły.

Po obiedzie miałyśmy ogromnie miłych gości — zawitały do nas z Radomia wychowanki bursy „Przyszłość,” której kierowniczką jest nasza dawna Wychowawczyni p. W. Witkowska.

Żalowałyśmy bardzo (zwłaszcza tegoroczne maturzystki), że te odwiedziny były tak krótkie i w okresie przedmaturalnym — pomimo to jednak zostawiły po sobie jak najmiłsze wspomnienia.

Redaktorka odpowiedzialna: Irena Bagińska.

Adres Redakcji: SEMINARJUM NAUCZ. ŻEŃSKE W MARJÓWCE P. PRZYSUCHA.

Druk szkoły rzemiosł w Marjówce